

HANNA
FARYNA-PASZKIEWICZ

KOBUSZ

JAN KOBUSZEWSKI
Z DRUGIEJ
STRONY SCENY

MANDO 

Spróbować wszystkich zawodów

Gdy nadszedł ważki moment wyboru kierunku studiów, miał siedemnaście lat. Za wcześnie, żeby decydować. Ichtiologia, bo miał akwarium i obserwował rybki? Seminarium duchowne, bo był wierzący? Do końca nie wiemy, czym kierowała się Marysia, już wtedy lekarka, gdy podsunęła mu pewien pomysł. „Może spróbuj każdego z zawodów, może aktorstwo?” Właśnie, co było impulsem? Przebierał się dla żartów, śpiewał, uprawiał sport, potrafił naśladować innych, choćby księdza odprawiającego mszę, był muzykalny, miał słuch i z czasem ciepły, głęboki głos. W rodzinie, prócz opisów przedwojennych występów przy pianinie, nie zachowały się żadne spektakularne opowieści o odkrywaniu jego talentu. A jednak pomysł Marysi był intrygujący. Janek przygotował się solidnie. Tak mu się przynajmniej zdawało. Mimo to aż do terminu składania dokumentów i samego egzaminu myślał, że kiedyś znajdzie się na scenie i będzie na niej występował, była i abstrakcyjna, i niepojęta. Lata później pytany, czy aktorstwo wybrał przez przypadek, odpowiedział szczerze: „Nie, skądże, przez wstręt do matematyki i fizyki”. A więc doszedł do zawodu drogą eliminacji.

Wtedy egzamin był na jesieni. Poprzedzał go dwutygodniowy letni kurs pod okiem Aleksandra Bardiniego. I tu znowu, teraz jako uczestnicy kursu, spotkali się z Olgą Lipińską. Ona zapamiętała, że „na Reja, na Reja, jest szkoła, co wyższą się zwie, co uczy aktorów lub nie”. Bo Szkoła

Teatralna wtedy jeszcze miała swoje lokum przy ulicy Reja na Ochocie. Zadawano im scenki do pokazania: dziewczyny siedzą i coś haftują, a obok przechodzi chłopak, w którym wszystkie się kochają. „Grał go Janek. Przechadzał się obok, posuwistym krokiem, a my rzucałyśmy spojrzenia. Jednak zamiast zerkać znad haftu, pękałyśmy ze śmiechu, bo był bardzo zabawny”¹, wspomina Olga Lipińska.

Na egzamin wybrał ambitny „repertuar”. Pewnie za trudny i za krótko ćwiczony, bo nie dostał się za pierwszym razem. Co przygotował? Sonet *Stepy Akermańskie*, fragment *Szyfowych prac*, jeden z wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i papkinowską scenę z *Zemsty*. Wspominał po latach jak szanowna komisja: Jan Kreczmar, Aleksander Zelwerowicz, Aleksander Bardini, Jacek Woszczerowicz, Maria Wiercińska i Edmund Wierciński, cierpliwie wysłuchała wersów sonetu, a potem poproszono go o sceniczną improwizację. „Na koniec podszedł do mnie Woszczerowicz, który był nikczemnego wzrostu, a więc głową sięgał mi mniej więcej do piersi, i powiedział: «Proszę pokazać zęby». Pokazałem i usłyszałem: «Nie nadaje się!»”.

Znacznie później sam ocenił, że jego egzaminacyjny repertuar to „nie były rzeczy dla amatora”, a fakt, że niski Jacek Woszczerowicz nie przepadał za wysokimi kandydatami, tylko pomógł komisji podjąć decyzję. Jan Kreczmar przypieczętował tę pierwszą próbę zdobycia indeksu Szkoły Teatralnej krótką opinią: „absolutny brak talentu”².

Jaka była przyczyna niepowodzenia? Wzrost? Zgrzyz? Jan Kobuszewski: „To anegdota. Prawdziwym powodem, dla którego nie dostałem się do szkoły teatralnej, był brak przygotowania. Na egzamin zdecydowałem się zdać późno, bo dopiero po maturze. Byłem teatromanem



W szkole
lalkarskiej, 1953 r.

wychowanym w tradycji teatralnej, ale o zawodzie miałem liche pojęcie”³.

Mocno przeżył porażkę na egzaminie, ale poczuł, że podąża we właściwym kierunku. Przyjęto go do Państwowej Szkoły Dramatycznej Teatru Lalek. Poznawał uroki studenckiego życia. „Zimą wyjechałem z grupą przyjaciół do Bukowiny Tatrzańskiej. I tam witałem nowy 1952 rok wraz z bukowianami w jedynej zresztą knajpie. Było trochę wódki i niewiele do jedzenia. Ale bawiliśmy się tak dobrze, że dopiero kwadrans po północy zorientowaliśmy się, że jesteśmy już w nowym roku. I wtedy baba krzyknął: «Jędrek, syp owsem!». Po góralsku, na szczęście”⁴. Owies sypany na szczęście przydał się w drugim podejściu do Szkoły.

Nie tracił czasu, studiował w Szkole Lalek, ale żeby cokolwiek zarobić, ukończył kurs przewodników po Warszawie. Od lalkarzy, artystów najczęściej ukrytych za postaciami poruszanymi sznurkami, w takiej samej mierze wymaga się emisji głosu, dykcji, umiejętności animacji i zręczności. Szkoła mieściła się wtedy na Ochocie, przy ulicy Słupeckiej, szefowała jej Janina Stanisławska-Kilian. Jako że szkoła była w likwidacji, kandydaci z ostatniego naboru powinni byli dwa lata zaliczyć w jednym roku, w tym historię sztuki, historię teatru i dramatu polskiego oraz dzieje lalkarstwa. Jan w przyspieszonym trybie przerobił i zdał podwojony materiał.

Otrzymał dyplom aktora Szkoły Dramatycznej Teatru Lalek, ale nie widział siebie jako lalkarza. „Nie mogłem pracować w teatrze lalkowym, bo... wyraźnie wystawiałem znad parawanu dla aktorów. Trudno mnie było ukryć przed dziećmi”⁵, słowa te można uznać za wymówkę. Nie opuszczała go już myśl o studiach na uczelni aktorskiej i choć rok pracy z lalkami nie był czasem straconym, to jednak szkołę tę traktował tylko jako miejsce do aktywnego przeczekania, zwłaszcza że sam Henryk Ładosz, recytator i profesor w szkole, już wtedy zobaczył w Janku potencjał na aktora wielkiego formatu. To on go namówił, by ponownie podszedł do egzaminu.

Na wejściu usłyszał pytanie Zelwerowicza: „Ty znowu tutaj?”. Tym razem wysoka komisja otrzymała do wyboru kilkanaście fragmentów prozy, kilka scen i blisko czterdzieści wierszy. Poprosili o wiersz jakże pasujący do fizis i aktorskiego temperamentu Jana. Była to rymowana, sielska opowieść o byczku imieniem Fernando, który z uosobienia łagodności przemienia się na moment w istną bestię, bo na łące ugryzł go bąk. Przewrotny wiersz Munro

Leafa (zawoalowana pochwała pacyfizmu) w finezyjnym tłumaczeniu Ireny Tuwim przyniósł Janowi szczęście. Może i dlatego, że egzemplarz książeczki był pożyczony z życzliwością przez saskokępskich przyjaciół rodziców Jana, państwa Morawieckich.

Wtedy, w 1952 roku, do warszawskiej Szkoły Teatralnej zgłosił się tłum młodzieży. Drugi etap przemieniono w dwutygodniowy obóz, który prowadzili Aleksander Zelwerowicz, Jan Kreczmar, Marian Wyrzykowski, Aleksander Bardini, Kazimierz Rudzki i Ludwik Sempoliński. „Na pierwszych przesłuchaniach było nas około 800, po tych eliminacjach zostało około setki. Miejsc było 20, tak więc odbył się i trzeci etap. Egzamin i narada komisji. Narada miała miejsce w sali teatralnej, a ja z moim przyszłym kolegą, siostrzeńcem Jana Kreczmara, czyli Zbyszkiem Zapasiewiczem, podsłuchiwalismy z za kurtyny. Głos zabrał chyba Zelwerowicz i powiedział: «Niezawodnie z tych wszystkich kandydatów na pewno Kobuszewski i Zapasiewicz». Krzyknęliśmy ze Zbyszkiem z radości i wybiegliśmy z sali”⁶.

Na ich roku w Szkole byli między innymi Anna Ciepiewska, Maria Broniewska, Andrzej Tomecki, naprawdę o nazwisku Chrupek, Jan Matyjaszkiewicz, Wanda Majerówna, Andrzej Źarnecki. Rok wyżej studiowali Mieczysław Czechowicz, Wiesław Gołas, Jerzy Dobrowolski, jeszcze wyżej Ignacy Gogolewski, Roman Kłosowski. Jan Kobuszewski zawsze ciepło wspominał i kolegów, i tak zwane ciało pedagogiczne: Zofię Małynicz, Ryszardę Hannin i Renę Tomaszewską (postrach zajęć z dykcji i estetyki wymowy), czy zespół teoretyków: Jana Białostockiego, Tadeusza Siverta, Jerzego Kreczmara. Zajęcia w Szkole wypełniały cały dzień od dziewiątej rano do, nierzadko,

dziesiątej wieczorem. Z przerwą na obiad. „Rodzina była wtedy biedna. W pierwszym roku nauki żył jeszcze ojciec, potem byłem wyłącznie na utrzymaniu mamy. Miałem 200 złotych stypendium, co wystarczało na opłacenie obiadów w «Dziekance» albo w stołówce Teatru Narodowego. Była straszliwa bieda”⁷. Szkoła Teatralna kończyła się mocnym uderzeniem: Studium Wojskowym. Szeregowy Jan Kobuszewski wraz z innymi kolegami musiał przejść wojskowe przeszkolenie na poligonie w Czerwonym Borze koło Łomży. W ramach ukulturalniania młodzieży do jednostki przybył teatr objazdowy z dramatem Wiktora Hugo *Ruy Blas*. Inscenizator wplótł w tekst postać Cyrana de Bergerac z – jak wspominał Jan Kobuszewski – „wielkimi monologami, niesłychanie komediowymi”. „Siedzieliśmy na widowni, wszyscy już po czterech latach szkoły teatralnej. Pułk liczył około tysiąca żołnierzy. W pierwszym rzędzie siedział pan pułkownik Tietiewral, który był z pochodzenia Litwinem albo Rosjaninem. Kiedy widownia pękała ze śmiechu, pułkownik się zrywał i krzyczał: Milczeć!”⁸.

Po dyplomie przez pewien czas co pięć lat spotykali się z kolegami z roku. To była część zaszczerpionej w Szkole tradycji. „Tej PIST-owskiej, teatralnej, aktorskiej. Jestem z czwartego powojennego rocznika PWST, ale w jakimś sensie, choćby przez osobę Zelwerowicza, była to kontynuacja tamtej przedwojennej uczelni. Właściwie zasad, jakie w niej panowały. Moi profesorowie: Kreczmar, Romanówna, Wyrzykowski – mimo niesprzyjającego politycznie czasu – przenieśli tamte idee. Bo to nie była tylko nauka zawodu, ale i etyki i moralności, koleżeństwa. To były także idee Reduty Osterwy. Dla mnie nie są to i nigdy nie będą wykopaliska z czasów prehistorycznych. Świętość sceny, obowiązek służenia publiczności, temu najbardziej

PANSTWOWA
WYZSZA SZKOŁA TEATRALNA
W WARSZAWIE

Nr *111*

DYPLOM

Ob. *Kobuslewski Jan*
urodzony dnia *19* m-ca *kwietnia* *1934* r.
w *Warszawie*
odbył... w latach *1952-1956*

WYKSZE STUDIA ARTYSTYCZNE
na wydziale *Teatralnym*
Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej
w Warszawie i uzyskał stopień zawodowy
dyplomowanego *Kłosa Brańców*
z wyróżnieniem

Rektor: _____ Dziekan _____

M. Kłosa *19/12-1956*



Jan Kobuslewski
Własnoręczny podpis

Drak ZDASP - Warszawa

Dyplom ukończenia Szkoły Teatralnej w Warszawie, 1956 r.

surowemu, ale życzliwemu egzaminatorowi, dla mnie przetrwały. W nas to żyje. [...] To są idee podchodzenia do zawodu w sposób bezwzględnie uczciwy”⁹⁹.

Szkoła i jej wymagania wyszlifowały także jego czysto gimnastyczne umiejętności. Jako dziecko regularnie zwalniane z gimnastyki, zawsze zakutane w warstwy ciepłych ubrań (kiedyś wspominał o trzech parach pończoch wkładanych jedna na drugą) i leczone na astmę, tu odkrył

dla siebie akrobatykę, rytmikę, szermierkę, nawet... balet. Był zwinny, giętki i zręczny, przypomnijmy, że z miejsca mógł wykonać przewrót w przód i w tył. Od czasów Szkoły do końca życia dla kolegów aktorów pozostał Kobuszem.

W 1956 roku dyplom z wyróżnieniem zamknął lata jego studiów. Pamiętajmy, że to nie były łatwe czasy. Sam środek okresu stalinowskiego, potem gomułkowski przełom. Siłą rzeczy także od studentów kierunków artystycznych oczekiwano aktywności politycznej, wyraźnego popierania „jedynie słusznej” linii partii. Manifestowanie przekonań i właściwej postawy nie powinno omijać żadnych środowisk. „Moi koledzy wiedzieli, że ja raczej jestem przeciwnikiem tego systemu i ustroju, że jestem człowiek prawicy. I na pewno jestem nie lewicowiec, i na pewno jestem wierzący, i to mi specjalnie nie zaszkodziło. Przepraszam – właściwie raz mi zaszkodziło, ale dowiedziałem się o tym po latach. [...] Kiedy likwidowano archiwum studenckie, młodzi koledzy przynieśli mi, starszemu już aktorowi, opinię, którą dostałem ze szkoły średniej od ZMP, chociaż w szkolnym ZMP nie byłem. I opinia podpisana przez moich kolegów brzmiała następująco: «Jednostka społeczna, wyjątkowo źle ustosunkowana do ustroju. Pod żadnym pozorem nie przyjmować na żadną uczelnię»¹⁰. Dodajmy, że choć zakończył studia z wyróżnieniem, ani po dyplomie, ani potem nie pracował w Szkole Teatralnej. Podobno nigdy nie padła taka propozycja. Raz przyznał, że nie czuł żyłki dydaktyka i był zajęty zawodowo ponad miarę.

Szkoła dawała podstawę zawodu, odkrywała w studentach im samym nieznanne cechy, sugerowała przyszłe *emploi*. Ale czy tak było i w przypadku Jana? Chyba nie, a raczej na pewno nie. I tu dotykamy bodaj najistotniejszej

kreski w szkicu jego postaci, ale i punktu ruchomego, trudnego do uchwycenia. Po latach, jako podziwiany aktor komediowy, nieraz sam zastanawiał się nad własnym potencjałem. Nim do tego doszło, kierował się innym drogowskazem.



Bułgaria, Jan Kobuszewski
z żoną, po 1957 r.



Hanna, Jan i skuter
Osa, 1959 r.

Jest jedna, jedyna... miłość

Zaraz po dyplomie w życiu Jana Kobuszewskiego zaszła ważna zmiana. Zmiana na całe życie. Gdy tylko otrzymał pierwszy teatralny angaż, a tym samym zapowiedź bodaj namiastki finansowej samodzielności, w październiku 1956 roku stanęli przed ołtarzem z Hanną Zembruską, właściwie Hanią, takie bowiem imię zapisano w jej dokumentach. Jej mama, rodowita Bułgarka, przeczytała kiedyś *Hanię* Henryka Sienkiewicza. Nie wiedziała, że imię to ma w polskim języku inną, bardziej oficjalną formę.

Hania była więc koleżanką ze Szkoły Teatralnej, śliczną dziewczyną o wielkim wdzięku i talencie. Studiowała rok niżej. Przyjęto ją, pod warunkiem że uwolni się od śpiewnego, bałkańskiego akcentu, że poprawi polszczyznę. Wspomina, że koledzy tłumnie ją adorowali, ale tylko Janek szedł z pomocą. Otoczył nieco zagubioną koleżankę opieką, partnerując jej w próbach do szkolnych zadań i poprawiając wymowę. Był to jego starannie ukrywany koncept. Okoliczności pierwszego spotkania nie były romantyczne, żadnego *coup de foudre* ani strzał amora. Ona, spytana, jak się poznali, czy na zajęciach, czy w towarzystwie, odpowiedziała, że... na korytarzu. On pamiętał, że zobaczył ją w Szkole, samą, siedzącą pod schodami. Gdzieś wspomniał, że była to kolejka do szkolnej poradni zawodowej. Nie było więc scen balkonowych, tylko banalne schody lub korytarz.



Urlop w Bułgarii, dom rodziny Zembrzuskich na górze Medet

Od dnia ślubu dane im było przeżyć razem sześćdziesiąt trzy lata, przedtem znali się ponad dwa. Nieraz byli pytani o receptę na tyle lat dobrego pożycia. I o to pierwsze spotkanie. Przecież powinno być magiczne. Nadzieję na niezwykłą odpowiedź rozwiewa ten sam do dziś widok szkolnego korytarza w gmachu przy Miodowej i zwykłych schodów. Dodajmy więc spacery po zajęciach uliczkami Starego Miasta, ślimakiem ulicy Karowej albo wino u Fukiery – to były pierwsze wspólne chwile.

Hanna Zembrzuska miała problemy z akcentem z prostej przyczyny, o której była już mowa. Jej mama Paulina, dla rodziny Pola, z domu Beneva, była Bułgarką, rozmawiała więc z dziećmi w swoim języku. Mieszkali w Sofii. Ojciec Władysław Zembrzuski, Polak, zajęty był pracą w dyplomacji. Nie miał czasu na przekazanie polszczyzny



Hanna Zembrzуска
w obiektywie Jana
Kobuszewskiego

dzieciom. Stanisław, starszy brat Hani, do końca życia mówił po polsku z wyraźnie bałkańskim zaśpiewem. Ich prapradziadowie wojowali w 1848 roku we Włoszech pod dowództwem generała Wojciecha Chrzanowskiego, następnie byli w Legionie Mickiewicza i w Turcji u Sadyka Paszy Czajkowskiego, wreszcie osiedli w Bułgarii. Hania i Staszek byli w rodzinie Zembrzuskich czwartym pokoleniem urodzonym poza Polską. Małżeństwa z Bułgarkami nie przeszkodziły w zachowaniu polskości. Ojciec Hani był po pierwszej wojnie światowej sekretarzem w Poselstwie RP w Sofii. W czasie drugiej wojny światowej ukrywał się poza miastem, w górach¹. Po 1945 roku Władysław Zembrzuski został konsulem polskim w morawskiej

Ostrawie. Tam Hania już systematycznie uczyła się polskiego. Chodziła do Polskiego Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. Występowała w amatorskich przedstawieniach, a kiedy w 1948 roku otrzymała nagrodę (był to zbiór utworów Adama Mickiewicza), śmiało pomyślała o egzaminie do warszawskiej Szkoły Teatralnej.

Wtedy to jej wdzięczny zaśpiew w głosie stanął na przeszkodzie w realizacji planów. Wspominała: „Nie znałam dobrze języka polskiego, komisja przyjęła mnie na studia, pod warunkiem że opanuję mowę ojczystą, i to bez akcentu”². Piękna blondynka miała rzesze wielbicieli. „Janek był z nich najsprytniejszy, udawał, że jest tylko kolegą, pomagał w nauce, a potem powiedział, że mnie kocha. Ja też się w nim zakochałam. Przez następne dwa lata byliśmy parą”³.

Gdy ostatecznie Jan wygrał rywalizację o jej względy i był pewien wzajemnego uczucia, postanowił się oświadczyć. „Odważyłem się w garnitur, kupiłem kwiaty, które wręczyłem przyszłej teściowej, dygnałem grzecznie i... usiadłem. No i tak rozmawiamy sobie, rozmawiamy, a ja nie wiem, jak zacząć. Godzinę siedzę i nic. W końcu mój przyszły teść mówi: «Janek, ty zdaje się chciałeś o coś nas poprosić». «Tak, o rękę Hani», wyjąkałem z ulgą”⁴.

Cywilny ślub państwa Kobuszewskich miał miejsce 7 października 1956 roku o godzinie 10, potem o 17 był ślub kościelny w akademickim kościele św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu. W szpalerze rodziny i przyjaciół do ołtarza młodą parę poprowadził zacny orszak: profesorowie Szkoły Teatralnej: Elżbieta Barszczewska i Marian Wyrzykowski, prywatnie także małżeństwo, oraz aktorka Janina Macherska i dyrektor Teatru Młodej Warszawy Stanisław Bugajski. Świadcami byli aktorzy Józef Kalita i Zofia Żurek. Ksiądz, który udzielał sakramentu ślubu, wraz

z życzeniami powiedział, że składali przysięgę, jakby byli po... szkole teatralnej. Zapewne dykcja i intonacja, ale także postawa, „mowa ciała”, zdradzały świeżo zdobyty zawód młodej pary.

Zamieszkali najpierw z rodzicami Hani na dalekim Mokotowie w domu przy ulicy Miłobędzkiej. Paulina Zembrzuska, teściowa Jana, miała ścisły umysł, w Sofii za młodu chciała studiować matematykę. Odnalazła się w Polsce, dobrze mówiła i pisała po polsku. Ale kiedyś u modystki w poszukiwaniu odpowiedniego kapelusza zaznaczyła, że powinien być „z dużym rondlem”. W latach głębokiego PRL-u prowadziła na Mokotowie małe przedszkole z językiem francuskim. Od przyjaciół z Francji zdobywała książeczki, loteryjki i inne „pomoce naukowe” dla dzieci. Ojciec Hani wcześniej przeszedł na emeryturę. Jako przedwojenny dyplomata nie miał w PRL-u szans na właściwe stanowisko.

Czasy nie były łatwe, Hanna i Jan długo nawet nie marzyli o własnym mieszkaniu. Z Miłobędzkiej przenieśli się na Saską Kępe, do dawnej „sypialni Korngoldów” w willi przy Królowej Aldony 3, którą jak pamiętamy rodzina zajęła po powrocie z popowstaniowego wygnania. Jan zawsze żałował, że nie zdążył przedstawić ojcu swojej narzeczonej. Edward Kobuszewski zmarł w lipcu 1953 roku. Widział syna w jednym szkolnym przedstawieniu, w *Pannie Maliczewskiej*. Żeby utrzymać dom i studiującego syna, Alina Kobuszewska podjęła pracę. Była korektorką w Państwowych Zakładach Wydawnictw Lekarskich.

Po ślubie Hanny i Jana mama Alina dzieliła kawalerkę ze swoją siostrą, czyli ciocią Janeczką, przy ulicy Nobla. Wcześniej Marysia Kobuszewska już ze swoją rodziną z tejże ulicy Nobla przeprowadziła się do mieszkania

w domu przy ulicy Paryskiej. Tym samym jesienią 1956 roku niemal cała rodzina w kilku ruchach, jak na szachownicy, trwale ulokowała się na Saskiej Kępie. Tylko Hanna Kobuszevska, od kilku lat Zborowska, z mężem Adamem i malutkim Wiktorkiem znaleźli się nieco dalej, przy ulicy Skoczylasa, na nowym praskim osiedlu wokół placu Hallera. W rodzinnym gnieździe „na Aldony” pozostał Jan z żoną. Dodajmy, że zbiegiem wielu szczęśliwych okoliczności po wielu latach syn architekta Lucjana Korngolda w liście z São Paulo wyrazi zgodę, by Jan Faryna, syn Marii Kobuszevskiej-Faryny, pozostał właścicielem domu przy Królowej Aldony 3 i nim dysponował. Tak jest do dziś.

Wróćmy do czasów, kiedy to koleżanki i koledzy ze Szkoły, teraz startujący w zawodzie aktorzy, wraz z otwarciem sezonu 1956/1957 rozjechali się po rozmaitych teatrach. Jan dostał angaż do Teatru Młodej Warszawy. Grał w nim dwa sezony. Była to jedna ze scen w Pałacu Kultury, potem przemianowana na Teatr Klasyczny, dzisiaj Teatr Studio. Na początek zagrał w *Żołnierzu i Biedzie* Samuela Marszaka, sztuce dyplomowej w reżyserii Reny Tomaszewskiej, przeniesionej ze Szkoły na stołeczne deski. Hanna Zembrzuska do grona dyplomowanych aktorek (rolami Rozalindy w *Jak wam się podoba* Szekspira i Kory w *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego) dołączyła rok później. Aleksander Bardini, dyrektor warszawskiego Ate-neum, pamiętał studentkę ze Szkoły Teatralnej. Zapropo-nował jej angaż.

Była Marianną w *Świętoszku* Moliera, Stellą w *Tram-waju zwanym pożądaniem*, Muszką w *Lecie* Rittnera, Kry-styną w *Osaczonych* w reżyserii Warmińskiego, tytułową Lillą Wenedą w dramacie Słowackiego. Zaangażowana do Teatru Narodowego, wystąpiła między innymi jako Gloria

w *Nigdy nie można przewidzieć* George'a Bernarda Shawa, jako Helena w *Śnie nocy letniej*, Viola w *Wieczorze trzech króli*, Stella w *Fantazym* u boku Jana Kurnakowicza, w *Historii o chwalebnyim Zmartwychwstaniu Pańskim* jako Maria Magdalena, jako Wandzia w *Grubych rybach* Michała Bałuckiego, Ruth w *Niemcach* Kruczkowskiego, Urszula w *Szkole marmuru* Michała Choromańskiego. Była Anielą w *Ślubach panieńskich*, Julią w *Wilkach w nocy* Tadeusza Rittnera, Anią w *Wiśniowym sadzie* Czechowa i Eliantą w *Mizantropie* Moliera. Grała także w telewizyjnych spektaklach teatralnych: Annę w *Zmarnowanym życiu* Adama Tarna, Sybillę w *Podróży poślubnej* Noëla Cowarda, Salomeę w *Horsztyńskim* Słowackiego.

Zawodowe drogi Hanny Zembrzuskiej i Jana Kobuszewskiego często prowadziły przez te same sceny, ale rzadko obsadzano ich w tych samych przedstawieniach. Zagrali na przykład razem w *Przygodach króla Artura* Sigrid Undset w Teatrze Telewizji (1960), w reżyserii Andrzeja Boguckiego, dwa lata później w Narodowym w *Zemście* (ona – Klarę, on – Papkina), a potem w sztuce Rittnera *Człowiek z budki suflera* (ona – Ewelinę Corelli, on – Kudeliusa), i w *Uczniu diabła* Shawa. Lata później w Teatrze Kwadrat w *Dwóch morgach utrapienia* Marka Rębacza, w *Damach i huzarach* Fredry, w *On czy nie on* Gabriela Arouta, w *Czarującym łajdaku* Pierre'a Chesnota, w telewizyjnych dobranockach dla dorosłych i w czarnym humorze – sztuce *Ciemno* Marka Rębacza.

W filmie po raz pierwszy i oboje na krótko pojawiają się w *Godzinach nadziei*. Plenery kręcono w lubuskim Łagowie. Filmowym wielonarodowym tłumem byli statystujący studenci szkół teatralnych i filmowych. Po dyplomie Hanna Zembrzuska zagrała tytułową *Syrenę warszawską*

w reżyserii Tadeusza Makarczyńskiego według noweli Stanisława Dygata. Potem, w 1958 roku, rolę pocztowej telegrafistki Irki w filmie *Wolne miasto* Stanisława Różewicza. Film opowiadał o przygotowaniach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej i tajnej misji Konrada Guderskiego (w tej roli Stanisław Jasiukiewicz). Telegrafistka Irka miała narzeczonego, marynarza Janka (grał go Jan Machulski). Niestety, dziewczyna ginie w ostrzeliwanym budynku gdańskiej Poczty Polskiej. Film nieraz pokazywano w telewizji w okolicach 1 września. Był traumatycznym obrazem dla córki państwa Kobuszewskich. „Chodź, zobacz, mamusię ci zastrzelili”, Maryna na zawsze zapamiętała tę scenę i czyjś bardzo niemądry komentarz, gdy wołano ją, by zobaczyła swoją bardzo młodą mamę na ekranie telewizora⁵.

Hanna zagrała także w kilku polskich filmach na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W przeciwieństwie do męża dobrze znosiła specyfikę pracy aktora na filmowym planie. Wystąpiła w *Dotknięciu nocy* w reżyserii Stanisława Barei (1961) i w *Wyroku* Jerzego Passendorfera (1962). W roku 1959 Hanna Zembrzuska w towarzystwie równie pięknej Barbary Połomskiej i reżysera Andrzeja Munka reprezentowała film polski na festiwalu w Argentynie w Mar del Plata⁶.

Śledząc ich równoległe zawodowe kariery, trudno nie zauważyć, że przez dziesięć pierwszych lat małżeństwa to Hanna przeżywała zawodowe spełnienie. Jan, jak sam wspominał, bywał „panem Zembrzuskim”. Z czasem grał więcej i tak już zostało. „Moje pierwsze honorarium oddałem żonie na prowadzenie domu. To było w 1956 roku. Kwota było bardzo mała. Wynosiła 904 złotych «na rękę»,



W mieszkaniu Hanny i Adama Zborowskich

co stanowiło równowartość bodaj ośmiu dolarów”⁷, wspominał ówczesne realia.

Bywał zazdrosny o żonę. Kiedyś za saskołępskich czasów Hanna długo nie wracała do domu. Janek przemierzał balkon na piętrze. Wreszcie zauważył, że żona idzie, ale nie sama, tylko z... Andrzejem Łapickim. Zdaniem Jana zbyt czule i zbyt długo żegnali się przy furtce. Nie wytrzymał. Zjechał po rynnie i po prostu przegonił pana Andrzeja. Ona tłumaczyła, że to taki ładny chłopak, więc długo rozmawiali.

Początkom jej zawodowej kariery towarzyszyły liczne fotosy, wywiady, zdjęcia na okładkach czasopism. Dzięki temu już w odległych latach pięćdziesiątych PRL-u

artystyczne małżeństwo p. Kobuszewskich zyskało popularność. Jednak najpierw Hanna, potem Jan. Szły za tym nieśmiałe próby prasowej reklamy i podglądania życia prywatnego. Niby przyłapani na zakupach (eksportowa szynka w puszcze w rękach Hanny), w drodze na sylwestra, w gabinecie luster wesołego miasteczka czy w domowych pieleszach. Gdy na świat przyszła ich córka Marianna, „Express Wieczorny” informował o tym fakcie na pierwszej stronie. Byli znani, lubiani, popularni.

Czasem dla żartu, ale i z miłości do żony Jan wykorzystywał swoją rozpoznawalność. Na przykład: „Odwiedziliśmy kiedyś przyjaciół na Bielanach. Mieszkaliśmy na Mokotowie i Hania uparła się, że nie będziemy wracać do domu taksówką. Uznała, że jest zbyt droga, tym bardziej w nocy, i ona pojedzie do domu, owszem, ale tylko autobusem. Cóż było robić? Wyszedłem, złapałem autobus, który zjeżdżał do zajezdni, dałem kierowcy stówkę i podjechaliśmy razem pod okno. Wszedłem do domu przyjaciół i oświadczyłem: Haniu, jest już autobus. Ona na to zdziwiona: Gdzie? – A tu, pod oknem stoi”⁸.

Z upływem lat coraz częściej pytano ich, jak spędzić w harmonii tyle lat. Czy istnieje recepta na udany, długotrwały związek? „Hania uważa, że prócz miłości ważna jest tolerancja i cierpliwość. Przeżyliśmy razem wiele pięknych chwil i szybko przekonaliśmy się, że jesteśmy jak papużki nierozłączki. Kiedy jednemu coś dolega, drugie staje się nie do życia. Stąd właśnie byliśmy i jesteśmy dla siebie wielkim wsparciem, zwłaszcza w trudnych chwilach, takich jak choroba”⁹, mówił Jan w 2018 roku. Hanna Zembrzuska kiedyś dodała: „Nigdy nie miałam wątpliwości, że wiążąc się z dryblasem z głową w chmurach, zrobiłam najlepszą rzecz w życiu”¹⁰.

Czy więc znali receptę na szczęśliwy związek? „Nie ma sprawdzonej recepty, nam po prostu się udało”, powtarzała w wywiadach Hanna Zembruska, a Jan dodawał: „Dobrze jest też mieć dzieci. Dzieci godzą. A potem dobrze jest mieć wnuki – bo to wielka frajda bez żadnej odpowiedzialności”¹¹. Hanna Zembruska mówiła, że w małżeńskim układzie była zwolenniczką kompromisów. Matka wpoila jej nadto pewną zasadę: jeśli coś nas poróżniło w ciągu dnia, nie położę się spać niepokodzona z mężem.

Medal za długotrwałe, pięćdziesięcioletnie pożycie otrzymali z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2006 roku. Także z tej okazji, razem z zespołem Teatru Kwadrat wzięli udział we mszy świętej na Jasnej Górze.

W jednym z wywiadów z tej okazji na stwierdzenie „Pan to musi bardzo kochać żonę”, Jan Kobuszewski odpowiedział krótko: „Muszę”. Albo dla żartu, wychodząc naprzeciw niestworzonym plotkom, przedstawiał Hannę: „Moja pierwsza żona”. Ona natomiast pytana o ich związek wyznała poważnie: „Janek jest w moim życiu niezbędny”.



Z Marynką w Zalesiu
Górnym, 1966 r.



Marynka
w Bułgarii,
1969 r.

Maryna, która wybrała inny zawód

W sierpniu 1965 roku na świat przyszła Marianna Kobuszewska, córka Hanny i Jana. Rodzice chcieli dać córce na imię Maryna, jednak w kalendarzu nie ma takiej świętej. Wybrali więc Mariannę, bo w tym imieniu zmieszczą się trzy inne, z poprzedniego pokolenia: Jana i jego siostr Marii i Hanny. Z czasem Marianna nazwała siebie Maryną.

W jednym z radiowych wywiadów z ojcem pięcioletnia Marynka włącza się roztropnie do rozmowy i do mikrofonu redaktor Anny Retmaniak mówi, że jest wprawdzie dumna z taty, ale więcej zarobiłby, pracując w ambasadzie, najlepiej bułgarskiej. Skąd to przekonanie? W dzieciństwie fascynowała ją postać dziadka Władysława i jego praca w dyplomacji. Chłonęła opowieści o tym, jak dziadek i babcia Paulina w latach międzywojnia, oboje piękni, bywali na balach u cara Borysa III. Poznali także przyszłego papieża Jana XXIII, który wtedy, jeszcze jako Angelo Roncalli, był oficjałem papieskim, a potem wizytatorem apostołskim w Sofii. Wizja balów z prawdziwym carem, eleganckich strojów i czar dyplomacji wydawały się dziecku znacznie ciekawsze niż praca taty w warszawskim teatrze.

Marynka miała w dzieciństwie pewien problem z popularnością ojca. Kiedyś na wakacjach postanowiła się przedstawiać jako... Myszka Zembrzуска. Lata później na pytanie: „Czy pana córce nazwisko ułatwiało życie?“, Jan Kobuszewski odpowiedział, że „Marianna szła samodzielnie przez życie i niechętnie powoływała się na mnie



Pierwsze kroki Marynki, Zalesie Górne, 1966 r.

i na moją żonę, za co jestem pełen podziwu dla niej. Tym bardziej że jako młody ojciec byłem człowiekiem nieprawdopodobnie zapracowanym. Wychodziłem z domu wcześnie rano, wracałem o trzeciej w nocy. Gdy dziś z nią rozmawiam, nie pamięta, bym ją zaniedbywał, ale twierdzę, że moja praca nie pozwalała mi na to, by tak się nią zająć, jak bym sobie tego życzył¹.

Jeden z bliskich znajomych, żoliborski sąsiad, wspomina, że Jan Kobuszewski potrafił siadywać w nocy „na przyzbie” domu i czekać na powrót córki z zabawy, czyli prywatki, z późnego pociągu z zimowiska czy innych młodzieńczych atrakcji. „Smutno, bo moje dziecko wyjechało”, mawiał. Nie byłby sobą, gdyby nie żartował: „Na szczęście Marynka nie odziedziczyła urody po mnie”.

Gdy była mała, jej tata w wywiadach zaklinał rzeczywistość: „Mam 5-letnią córkę. Mam nadzieję, że nigdy nie zostanie aktorką. Wolałbym zaoszczędzić swemu dziecku rozczarowań i wolałbym, żeby córka wybrała inny zawód”². Dobre duchy wysłuchały prośby. Maryna skończyła warszawską Akademię Sztuk Pięknych, wydział konserwacji malarstwa. Dziś kieruje pracownią konserwatorską jednego z największych warszawskich muzeów. Razem z zespołem ratuje obrazy, przywraca im blask i świetność. Niemal każdy obraz-pacjent kryje w sobie jakąś tajemnicę. I nie zawsze chce się nią podzielić. Jedną z fascynujących zawodowych przygód Maryny był odnaleziony w muzealnym magazynie *Bukiet kwiatów w szklanym wazonie* pędzla Andreasa Stecha. Proces konserwacji odsłonił sygnaturę malarza, co jest zawsze nagrodą dla konserwatora. Kwiaty, choć z różnych etapów wiosny, lata i wczesnej jesieni, były idealną dekoracyjną kompozycją. W dokumentalnym filmie o Stechu, jego gdańskiej epoce i dziełach, komentarz czytał tata konserwatorki, Jan Kobuszewski.

Maryna dbała o należyte obchodzenie rocznic ślubu rodziców, okrągłych urodzin. Organizowała spotkania rodzinno-przyjacielskie. W dobrych restauracjach, wybierając otoczenie, budując atmosferę. Na przykład osiemdziesiąte urodziny ojca – w Domu Polskim na Saskiej Kępie. Ma dwóch synów, Jan i Macieja. „Jest pan dziadkiem poważnym czy kumplem? Jestem raczej dziadkiem kumplem. Ale potrafię wymagać, bo sam zostałem tak wychowany i w podobny sposób wychowałem córkę, która zawsze musiała zasłużyć na przyjemność. Jest mi dzisiaj za to wdzięczna”.



Jako Biondello w *Poskromieniu złoŃnicy*, Teatr Młodej Warszawy, 1957 r.